

Pociąg zatrzymał się pod olbrzymim, przezroczystym kloszem, naprzeciw czarnych ścian, pogiętych w faliste powierzchnie, od których odcinały się jaskrawo tysiące lampek elektrycznych i karminowych sygnałów świetlnych. Peron wypełniał tłum eleganckich dam w toczkach z granatowych i białych kwadratów, w żakietach skośnie okręcających ciało i rozwijających się nad biodrami w białe kanciasto zakończone paniers. Wśród nich uwijała się czereda dandysów, w wysokich skośnie obciętych cylindrach, w jedwabnych obcisłych surdutach z szeroko odstającymi kołnierzami i rabatami z grubego białego sukna. Byli to przeważnie dobrzy moi znajomi. Znam Kraków nie od dzisiaj i miałem czas znudzić się nim od dawna, jeśli zaś nie zdecydowałem się dotąd na przeniesienie się do innego miasta, to głównie z tego powodu, że bezwzględny brak nowożytnej tradycji uczynił to miasto prawdziwie wybranym dla rozwinięcia się formizmu. Natomiast mój przyjaciel z czasów paryskich, muzyk Winda-Widaczyński, który od 30 lat siedział w Kian-Czan i zachował wspomnienie brudnej, obdartej budy, zwanej dworcem krakowskim z r. 1920, rozwarł szeroko oczy i zaczął wypytywać mnie gwałtownie, czy to na pewno on nie śni i czy rzeczywiście jesteśmy w Krakowie? Tak i nie, mój drogi – odpowiedziałem. Miasto, do którego przyjechaliśmy, to nowy Kraków, znajdujący się w odległości dobrej mili na zachód od dawnego. Tamten powstał w niezmienionej formie i kultywowany jest z pietyzmem przez Towarzystwo Konserwatorów Miasta, Konserwatorów Sztuki Narodowej i Ducha Wypoczynku, nabytego za czasów niewoli austriackiej.

Rozmowa urywa się; zagarnia nas ruchomy chodnik, wijący się wśród błyszczących załamań westybulu, jak promień światła we wnętrzu kryształu, i wnet znajdujemy się w automobilu, którego ostre kontury, zarówno jak wysoka niesymetryczna rogatywka szofera i kanciasty, szeroko rozpostarty kołnierz płaszcz (epigon wzorzystych kołnierzy przy dawnych kierezjach) wprawiają w zachwyt przywykłego do chińszczyzny Winda.

Pędzimy przez oszklone pasaży, oranżerie, portyki i esplanady, na których widzi się jedynie ekwipaże luksusowe i wykwinną publiczność pieszą. (Ruch ciężarowy odbywa się w osobnych tunelach, obsługiwanych przez młodzieńców, którzy w ten sposób spełniają swe obowiązki względem ojczyzny).

Pałace, które mijamy, budzą w mym towarzyszku podziw, graniczący z osłupieniem. Ani śladu dawnych sztywnych, pionowych ścian, pokrytych szablonowymi prostokątami okien. Miejsce ich zajmują krzywizny żelazobetonu, rzucane jakby siłą wybuchu podziemnego, jednym rozmachem od fundamentów po wierzchołek. Szeroko ścięte, szklane kopuły dachów zalewają wnętrza tych domów światłem słonecznym, spadając jednym nieprzerwanym strumieniem od najwyższych pięter do parteru. Złożona budowa wnętrza ujawnia się załamaniem fasady, koncentrującymi światła i cienie w ten sposób, że zda się, mamy przed sobą grę promieni, rzucanych z góry przez jakieś gigantyczne reflektory, lub kłęby barwnych oparów zwichrzonych jakimś kapryśnym tajfunem. Winda nie orientuje się w tym wszystkim, a i ja niełatwo mógłbym może wytłumaczyć każdy szczegół, bo ile razy patrzę na nową architekturę, pociąga mnie przede wszystkim to, co w niej jest sztuką, a zapominam o tysiącnych udogodnieniach, które z nią są związane.

Że tak być musi, wnioskować można z dokładnością, z jaką zorganizowany jest ruch na ulicach.

Automobil zatrzymuje się na ruchomym chodniku, który nas wciąga w labirynt Parku Ludowego wypełniający środek miasta. Przesuwamy się przez chaos żywopłotów świerkowych, przez fale tuj i cisów, przez pachnące jałowce, pełne czarnych, zeszłorocznych jagód, mijamy groteskowe zakręty wodotrysków, zalewające nieskończenie rozległe baseny, w których kąpią się beztroskliwi artyści i ciężką pracą znużeni młodzieńcy. Obok nas przesuwiają się ruchome węże chodników, unoszące tłum gwarny i podniecony radością wypoczynku. Możemy teraz dokładniej przyjrzeć się strojom, które mimo niezmiernej róż-

norodności zachowują jednak zasadniczy styl wielkich, śmiało rzuconych powierzchni i linii oplątujących ciało skośnie i przewrotnie. Mijamy szeregi will luksusowych ze szkła i mosiądzu, przypominających weneckie zwierciadła, wznosimy się ponad olbrzymie arterie ruchu, wypełnione mącącym zmysły wirem samochodów, tramwaj i ruchomych chodników, przebywamy jeszcze kilka zacisznych, słodkich zakątków spomiędzy związanych w górze zakrzywień fasady i znajdujemy się w końcu na jednej ze szklanych powierzchni wielopiętrowego Pałacu Aeroautów, przed centralnym hotelem Cracovia i na zadanie mego towarzysza przyglądamy mu się dokładnie. Jest to prawdziwy drapacz nieba, nieprzypominający jednak kształtem dawnych olbrzymów amerykańskich. Rozszerzony u podstawy, zwęża się ku górze, ażeby od pięter środkowych rozbiec się na trzy nierówne skrzydła, z których środkowe wznosi się jedną ścianą pionową w górę, podczas gdy druga opada olbrzymim łukiem od szczytu do fundamentów, boczne zaś skrzydła zwieszają się pod kątem ostrym nad poziomem, wyzyskując w sposób celowy prawa statyki odkryte przed wiekami w Pradze i w Bolonii. Całość robi wrażenie nadprzyrodzonej, kryształowej róży, mającej tak wielką lekkość i zarazem taki majestat, że poczciwy Winda, który przyzwyczał się wierzyć, że architektura nowożytna musi być wstrętna, bo wiek jej skończył się w baroku, jeśli nie w średniowieczu, nie może nadziwić się, że podobny przewrót mógł się dokonać w tak krótkim czasie.

Tłumaczę mu, że przyczyną tego jest zmiana w koncepcji państwa, jaka dokonała się w ciągu wielkiej wojny światowej z drugiego dziesiątka lat XX w. Przedtem państwa europejskie dzieliły się na takie, które uprawiały otwarty rozbój, i takie, które musiały z ostatecznym wysiłkiem myśleć o obronie swych granic. I jedne, i drugie musiały hamować postęp, pierwsze z prostego powodu obawy przed utratą zagrabionego mienia innych, drugie z konieczności skupienia całej energii w celu obrony własnej. Po wojnie stosunki się zmieniły. Państwa nowo powstałe, wolne i zabezpieczone od zewnątrz powagą Ligi Narodów, rozumiały, że moralną samodzielność zachować mogą jedynie przez tworzenie nowych form życia, a przede wszystkim przez nową sztukę, rozumiały, że zwolennicy starych form, zwalczających ewolucję sztuki w imię tradycji, bronią jedynie swego własnego niedołęstwa, odbierając społeczeństwu wiarę w siebie i skazując je na wieczne oczekiwanie hasła wypróbowanych gdzie indziej.

Czasy, kiedy w Polsce wymagano od młodego człowieka, aby przetrwał w nieskończoność przestarzałe produkty umysłowe Zachodu dlatego tylko, że poza ich granice jego nieudol-

ni profesorowie wydostać się nie umieli, minęły bezpowrotnie. Wielka myśl organizująca, odbudowana przez Piłsudskiego, wydała swoje owoce.

Winda rozumie i nagli do pośpiechu. Przede wszystkim chce rozejrzeć się w całości, wyjeżdżamy więc liftem na najwyższe piętro szklanej konstrukcji szczytowej i pochylamy się nad błyskiem przepaści. W dali na horyzoncie zielenią się niezmiernie Błonia i kopiec Kościuszki, widzimy Wawel i Kościół Mariacki. Winda ma tży w oczach, ale to tylko jedna sekunda, bo zaraz pochlania jego uwagę odmet skłębionych linii ulic i placów i skrzące stubarwną tęczę kopuły hoteli i gmachów publicznych. Mamy przed sobą wnętrze mikrokosmosu, żyjącego według praw ustanowionych z przebiegłością i mądrością wielkiej, bezinteresownej, zbiorowej myśli. Wynikiem ich jest harmonia i spokój panujący nad palącym wirem, niestrudzonego, wiecznie wytężonego dążenia do nowych odkryć. W przeciwieństwie do dawnych miast, których beznadziejnie wydłużone, zawsze niemal za szerokie aleje i długie, równe szeregi obojętnych, płaskich budynków opierały się z bezwładem zamarzonego kadłuba wyobraźni szukającej spojrzenia w dziedzi-ny nowe i trudne, widoczne było na każdym kroku poddanie się i jakby chęć ułatwienia przejścia w ścianach budynków wygiętych i rozpluwających się w nieskończonych możliwościach dróg i przesmyków.

Granica między ulicą a domem, średniowieczna brama strzegąca przed włóczęgami, zaniknęła wraz z nimi. Domy wchłonęły w siebie ulice, obejmując je owymi wnętrzami i ożywiając je żarem swych kaloryferów i cieniem ruchomych dachów. Korzystamy z tego w całej pełni. Zamiast nudnych szachownic dróg i domów lub pustych łąnów, gór i lasów, pomiędzy którymi wybierać musiał widz sprzed lat trzydziestu, poimy nasz wzrok mozaiką bogatszą w barwy i życie od najpiękniejszych wybuchów geniuszu weneckiego, bo przepojoną blaskiem niezmiernych obrazów i łączącą lazurowe fale z lśnieniem załamań swojej rzekomej powierzchni.

Nie sądzę, żeby dobrze było zajmować się wypatrywaniem szczegółów wielkich panoram, którym tak chętnie trudnili się dawni turyści, więc nic nie objaśniam z wyjątkiem Domu Wolności, Amfiteatru i Łaźni, które same dla siebie tworzą odrębne miasta i przykuwają uwagę na długo. Z odległości trudno ustalić ich kontury, gdyż grają na nich niezliczone iskry witraży, polichromii i wygięć łuków formujących. Nie o to jednak chodzi, tak jak niepotrzebne jest zgłębianie wszystkich tonów górnych jednego akordu symfonii. Lepiej upoić się całością, lepiej czuć tylko, że to są centra tego milionowego środowiska, że ono faluje wśród

nich pomimo pozornego chaosu, niezmiernie prawidłowym rytmem. Wzrok płynie po spletanych powierzchniach, radując się prawem, które kazało im połączyć się w ten, a nie inny sposób, koniecznością, która wyrugowała na zawsze rządzący dawnymi konstrukcjami miast szablon i przypadkowość.

Milczymy. Winda pierwszy zabiera się do odejścia, znużony nadmiarem wrażeń. Ale ja nie pozwalam mu spocząć i wiodę go do amfiteatru. Nie po to jednak, żeby informować go o ilości miejsc tego olbrzyma, o udogodnieniach i praktyczności całego urządzenia, chcę tylko zestawić ze wspomnieniami dawnych magazynowych pudeł, które muszą tkwić jeszcze w jego mózgu, patetyczny kłęb dwóch sklepionych z sobą półkul, wytryskających z powierzchni ziemi, jak piersi kąpiącej się Afrodyty. Patrząc na wiotkość i nieuchwytność ich kształtów, myślę chwilami, że mam przed sobą wizję, że to jest ciągle rok 1920 i że leżę w łóżku ciężko chory na hiszpankę, ale zabawnie zachwycona mina Windy przyprowadza mnie do równowagi. Pokazuję mu gładkie różowe marmury, przezroczyste krawędzie ścian kryjące w sobie wieńce lamp elektrycznych. Zwracam jego uwagę na złote ikozaedry na żelaznych poręczach, które przywodzą na pamięć kraty starych pałaców, chociaż są od nich niezmiernie dalekie i doprowadzone do zupełnej harmonii z nowym otoczeniem. Dłużej zatrzymuję się przy marmurowych posągach, które są naturalnym wysubtelnieniem naroży niemającym nic wspólnego z dawnymi sztucznie dolepianymi kulfonami. Nie ma w tym wszystkim zadumy renesansu ani bolesnego zmierzchu kryjącego się w zakamarkach baroku; jest radosna, pełna powagi siła i świeżość, jest zwycięstwo nad trwogą przed rzeczywistością, drzemającą od prawieków w naturze ludzkiej i podsycaną z żarliwym zapalem przez słabe czaszki metafizyków i mistyfikatorów. Tłumaczę Windzie, że nowa architektura była koniecznie potrzebna do wyzwolenia się ze średniowieczny. Dopóki trzeba było przeciwstawiać romantyczne i groźne zamki lordów Ogilvies chorych na kult przedmiotów złotych, porządnym i na geszeft obliczonym hotelom przedsiębiorców szwajcarskich, trudno było się dziwić, że wiele umysłów fantastycznych i łatwo się blazujących patrzyło z nieufnością na społeczność, szukając schronienia w mrokach historii i opartej na niej ideologii. Dopiero wybuch nowożytnej sztuki, który dokonał się w ostatnich dziesiątkach lat, wypełnił z umysłów niewiarę w czar jasnej i na sobie samej opartej myśli. Ewolucja nauk ścisłych i ich zastosowań, która w XIX w. dokonywała się niezależnie od życia społecznego i artystycznego, wywołując paradoksalne stosunki doprowadzone do nieprawdopodobnego natężenia w wielkich centrach

przemysłu, odnalazła nareszcie odpowiednik w rozwoju sztuki i filozofii życia.

Od tej chwili sztuka przestała być zjawiskiem niebezpiecznym i zimnym. obrońcy praw entuzjazmu stali się przeżytkiem.

Zwiedzamy jeszcze Pałac Wolności, którego sylweta wzorowana jest na majestacie Krywania, a wewnątrz wypełnione jest dziełami sztuki z ostatnich lat trzydziestu. Teraz pora korzystać z aeroplanu, który czeka na nas, aby nas zawieźć na śniadanie do Willi Tomy, będącej własnością rzeźbiarza Seledyna i jego żony tancerki Senego. W wygodnej kabine pasażerskiego aeroplanu przygotowano kąpiel. Patrzymy na znikające w blaskach południowych Miasto przez szyby soczewkowane i zastanawiamy się nad pięknnością rzeczy widzianych. Tłumaczę Windzie, że podstawą rozwoju nowożytnej architektury była ta prosta uwaga, że dom nie jest przedmiotem samodzielnym, ale jest raczej zaburzeniem otaczającej go atmosfery. Wydawałoby się, że jest to myśl banalna, która nie może wpłynąć na zmianę stylu, a jednak rzecz ma się przeciwnie. Jest naturalne, że w dziele sztuki wszystkie szczegóły nie mogą być wykończone równomiernie, gdyż w takim wypadku powstałby magazyn szczegółów, a nie żywy organizm samoistny, skupiający je w nierozdzielalną całość. Otóż, jeśli celem naszym jest sam przedmiot, musimy z konieczności zaniedbywać to, co go otacza, i dlatego nie możemy nigdy uczynić go częścią większej całości, którą w wypadku architektury jest atmosfera otaczająca ulicę i domy. Skutkiem tego stanowiska miasta dawniejsze składały się z pakunków rzuconych na chybił trafił przed wozem ciężarowym, podobnie jak obrazy przedstawiały nalepki na tle oficjalnym lub bezkształtne magazyny plam farbowanych. Od czasu, kiedy zaczęto myśleć przede wszystkim o atmosferze, sztuka zmieniła się zasadniczo. Nietrudno było zachować w odmętach załamań powietrza pewne kształty, które wprawnemu widzowi dostarczały aż do zbytku pożądaných kształtów kobiecych lub barwnych kielichów kwiecia. Podobnie architekt rozprowadzający żelazobetonem i całym aparatem współczesnej techniki mógł bez wysiłku przystosować linie formistycznego domu do wymagań komfortu zwiększonych od czasu wojny do granic niebywałych, co więcej mógł je wyzyskać z łatwością do uzyskania niezmiernych korzyści, zwłaszcza pod względem oświetlenia. Ale była to praca drugorzędna, ograniczona do właściwych sobie terenów, która nie tylko mogła nie zaszkodzić zasadniczemu rozłożeniu form, ale przyczyniła się do pewnej ich konsolidacji i ułatwiała wczucie się w związaną z nimi harmonię. Nawet zdezorientowany i zaskoczony nadmiarem świeżych wrażeń Winda zaczynał rozumieć, że o przypadkowości i łatwym wykpieniu się z za-

dania nie mogło tu być mowy, wyczuwał, że dziwactwo, do którego doszła sztuka z epoki upadku przez poszukiwanie treści coraz to bardziej groteskowej dla ożywienia coraz to bardziej sztywniejących starych form, musiało wreszcie zaprzeczyć samo sobie i doprowadzić do rozsądzenia nienaruszalnych pozornie szablonów. Winda przypominał sobie w tej chwili ten zabawny okres powojenny, kiedy w Polsce zaczęły się pojawiać pierwsze, nieśmiałe próby sztuki formistycznej. Przypominał sobie, nie bez uśmiechu politowania, że w chwili wyjazdu za granicę zostawiał w centrach umysłowych Polski zorganizowane kadry tzw. Młodych, rekrutujących się częścią z wykolejonych epigonów impresjonizmu, częścią z prawdziwie młodego narybku, który myślał tylko o tym, żeby się wyżyć i zadowolić swoją młodością i dobrym humorem. Było wówczas dużo zacnych obywateli, którzy w naiwnym przerażeniu przed nieoczekiwaną ewolucją sztuki chwyтали na ślepo w ramiona to jednych, to drugich, oczekując w nich ostatniej deski ratunku przed lawiną formizmu, ogarniającą umysły twórcze na najodleglejszych

krańcach Rzeczypospolitej. Ale były to już bardzo dawne czasy. „Młodzi” zamarli dawno na przedwczesny uwiąd starczy, znużeni na śmierć robieniem wiecznego dobrego humoru lub perwersyjnych nastrojów przepitych arlekinów. Na porzuconych przez nich terenach wykwitło wielkie dzieło nowego stylu. Nie rozumiał jeszcze, jak można żyć wśród tych nieustannych załamań i zagadkowych skrętów. Czy nie była to niepotrzebna komplikacja życia, czy nie było to utrudzenie pracy? Na pytania te nie chciałem mu dać odpowiedzi, obiecując, że rozwiąże je sam na podstawie obserwacji.

Będzie czas, iż przekonasz się, że skutkiem rozumnej organizacji wydajność pracy naszego społeczeństwa zwiększyła się kilkakrotnie, przy zredukowaniu zużytej energii do minimum. Na razie będziesz miał sposobność zobaczyć, do jakiego stopnia sposób życia został urozmaicony i o ile stał się zabawniejszy. Ale już dojeżdżaliśmy do Willi Formy, bo Giewont pokazał się na horyzoncie i od szczytów spiskich jął bić blask topniejących w wiosennym słońcu lodowców.